

Warszawsko szychta, czyli śląskie puzzle

AUTOR: DOMINIK GAC

Ślązacy są w swoim teatrze programowo życzliwi Polakom.

Jeżą się na nas oczywiście, bo nie chcą się w Polsce rozpuścić, ale i wdzięczą, eksponując ten lepszy profil. Tak przed Polakami, jak i przed samymi sobą. Nie wolno zapominać, że zanim wszystkie spektakle prezentowane w ramach „Przystanku Śląsk” trafiły nad Wisłę, stały się klasykami nad Rawą.

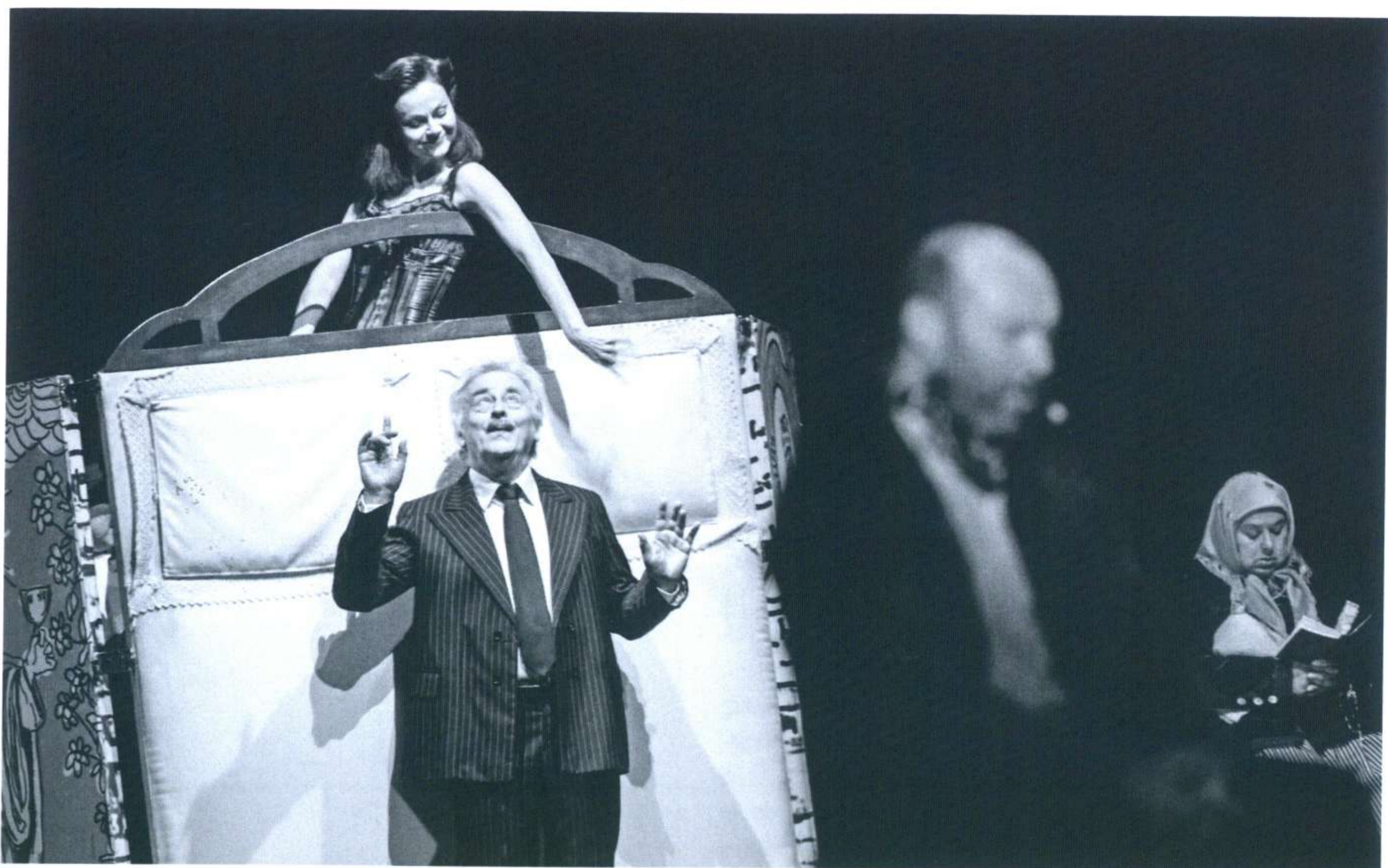
■ Teatr małych ojczyzn – atrakcyjność tej koncepcji nieco już przygasała. Zdaje się, że praca została odrobiona, misja spełniona, a małe ojczyzny dowartościowane. Ich mieszkańcy mogą teraz w spokoju pracować nad swoimi sprawami, albo je porzucić i zająć się szerokim światem. Dzieje się tak w Wałbrzychu, dzieje się tak w Legnicy. Nieco inaczej rzecz wygląda na Górnym Śląsku, który uniwersaliami zajmuje się cały czas, bo i za duże są Katowice na wyłącznie lokalne tematy. Jednocześnie nadal walczy o dostateczne uznanie własnej odrębności. Rzecz nie jest prosta, o czym najlepiej świadczy fakt, że śląski wciąż nie jest językiem regionalnym (ostatnim aktem sporu było tegoroczne weto prezydenta, który sprzeciwił się nowelizacji ustawy). Publiczny charakter konfliktu wokół tożsamości regionu sprawia, że tamtejsi artyści ustawiają się niekiedy w opozycji do Polaków. Robi tak na przykład Szczepan Twardoch. Nieco inną pozycję przyjął Robert Talarczyk, aktor, reżyser i dyrektor Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego.

Talarczyk katowicką scenę prowadzi od przeszło dekady – jako pierwszy Ślązak na tym stanowisku. Wiele o jego strategii komunikacji z resztą kraju mówi warszawska odsłona inicjatywy „Przystanek Śląsk”, czyli przegląd spektakli, który odbył się na początku sezonu w Teatrze Studio. Z Katowic i okolic przyjechały produkcje Śląskiego, Korezu i Naumionego. Wybór tytułów zdaje się oczywisty i zaskakujący jednocześnie. Zanim jednak o tym, warto odnotować, że mamy do czynienia z kolejnym rozdziałem współpracy między Śląskiem a Studio. Wcześniej na stołecznej scenie wystawiono *Byka*, monodram we współreżyserii autora Twardocha i aktora Talarczyka. Przymierze tych instytucji zaowocowało również koprodukcją *Empuzjonu* w reżyserii Talarczyka na podstawie powieści Olgi Tokarczuk, którego akcja także rozgrywa się na Śląsku, choć dla odmiany tym Dolnym. *Byk* w programie „Przystanku Śląsk” się zmieścił, *Empuzjon* już nie. Może dlatego, że kuracjusze w Görbersdorfie, o których pisze Tokarczuk, nie „godają”. A przecież i o to chodzi, żeby warszawiacy

posłuchali śląskiej godki. Może wtedy łatwiej będzie im traktować ją jako osobny język? Scena może pomóc. Owszem, teatr przecenić łatwo, ale trudno zanegować jego tożsamościowy potencjał.

Ja, Polok, z Polski środka, obraz Śląska zbudowałem ze skrawków i tak też odbieram przedstawienia, które artyści przywieźli do Warszawy – jako dodatkowe puzzle z zestawu „śląskie imaginarium”. Próbuję je układać, choć nie wszystkie do siebie pasują. Pogrzebowe zwyczaje pokazane w *Kopidole* Teatru Naumionego (wielopokoleniowej grupy teatralnej z podkatowickich Ornontowic założonej w 2004 roku) z jednej strony sprawiają wrażenie folklorystycznej ciekawostki, z drugiej dzięki kantorowskiej postaci tytułowej (Bartłomiej Garus) przenoszą nas w ów realizm zaduszny, tak charakterystyczny dla rozmaitych opowieści o Śląsku. Grupa pod kierownictwem Iwony Woźniak ma też w swoim repertuarze przedstawienia skoncentrowane bardziej na dziś niż wczoraj, jak choćby *Last Minute* (2021). Spektakl opowiadający o tym, co Ślązakom przynosi transformacja energetyczna i globalizacja. Znamiennie, że do Warszawy przywieziono opowieść o podtrzymywaniu tradycji (niemal wyabstrahowanej ze współczesnych uwarunkowań), a nie historię o jej zderzeniu z teraźniejszością i tego zderzenia daleko idących konsekwencjach. Zgoda, że prozaicznych, ale między innymi w tym wielka wartość teatru nieprofesjonalnego, że potrafi opowiedzieć o tym, co rzeczywiście interesuje lokalną społeczność, w której pracuje i z której wyrasta.

Przykładam te historyczne pocztówki i współczesne zdjęcia do własnych wspomnień z katowickiej aglomeracji, powieści Szczepana Twardocha, esejów Henryka Wańka i Zbigniewa Rokity, malarstwa Grupy Janowskiej, filmów Kazimierza Kutza, historii Śnialni, do kawałków kontrkultury i popkultury: psychorapu i metalu, który na tej czarnej ziemi przyjął się wyjątkowo dobrze. Na to wszystko nakładają się jeszcze szkolne i telewizyjne klisze: kopalnie, górnicy, barbórki, głupawe ka-



Piąta strona świata, reż. Robert Talarczyk, Teatr Śląski w Katowicach (2013)

foto: Przemysław Jendroska / Przystanek Śląsk

barety, żurek, żarty z Sosnowca, no i teatr. Zarówno ten w Katowicach, jak i ten po drugiej stronie granicy-Brynicy. Obydwie sceny w ostatnich latach bawią się pospół odwiecznymi śląsko-zagłębiowskimi animozjami, ćwicząc złośliwą sympatię. Tak to przynajmniej wygląda z perspektywy widowni na przedstawieniach *Nikaj* (Teatr Zagłębia, 2021) czy *Węgla nie ma* (Teatr Śląski, 2022). Dla gościa z głębi kraju to nawet miły, folklorystyczny akcent, ale że autochtonom się ta bójka nie nudzi? W jej żywotności tkwić musi jakaś prawda. Może o tym, że hanys, aby śląskość ocalić, musi ją od gorola odbić? Na co dzień wystarczy do tego Sosnowiec, ale czasami trzeba pojechać do Warszawy.

Pisząc o Śląsku z perspektywy gorola, korzystam z zaproszenia, które Grażyna Bułka wystosowała po owacjach wieńczących jej monodram *Mianujom mie Hanka*. Obowiązkiem Ślązaków jest – mówiła wzruszona do warszawskiej publiczności – uchylać przed Wami drzwi do Śląska i pokazywać go takim, jakim jest, a nie jest on czarno-biały. Artystka ma oczywiście rację, ale mnogość odcieni nie wyklucza stylizacji. „Przystanek Śląsk” pokazał Warszawie spektakle często już klasyczne, grane latami – tak jak wspomniany monodram, który swoją premierę miał w 2016 roku. Tekst Alojzego Lyski wyreżyserował Mirosław Neinert w katowickim Teatrze Korez. Instytucji dla śląskiego teatru kluczowej. Prywatna inicjatywa założona w 1990 roku jako jedna z pierwszych dostarczyła lokalnej publiczności teatr o Śląsku i po Śląsku. Aczkolwiek nie od razu. Punktem zwrotnym była adaptacja powieści Janoscha *Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny* w reżyserii Neinerta i Talarczyka (2004), o której za chwilę. Wróćmy jednak do Bułki i jej brawurowej kreacji. W życiu Hanka zmieściły się wszystkie największe burze, które przetoczyły się przez Śląsk w XX wieku: pierwsza wojna, plebiscyt, powstania, druga wojna, komunizm. Przez dom bohaterki przemaszerowały liczne państwowe ideologie, najpierw się do Ślązaków wdzięczące, a gdy już ich pozyskały, mielące bez litości – głównie

mężczyzn, czyli Hanka mężów i synów. W jej biografii jedna jest tylko stała – śląskość, źródło kłopotów, ale i bezpieczeństwa, dom.

Śląski teatr do przeszłości sięga pasjami, ale nie dalej niż przed pierwszą wojnę. Tak samo dzieje się we wspomnianym *Cholonku* i słynnej *Piątej stronie świata* Kazimierza Kutza (2013), którą Talarczyk z wielkim sukcesem wyreżyserował w Śląskim na zaproszenie ówczesnego dyrektora Tadeusza Bradeckiego. Szlak był przetarty, precedens śląskiej godki na tej nobliwej scenie ustanowił sam dyrektor, wystawiając wcześniej *Polterabend* Stanisława Mutza (2008), ale to Korezowy *Cholonek* był wtedy punktem odniesienia i probierzem teatralnej śląskości. Buzowała ona wówczas pod różnymi fajerkami, nie tylko w Katowicach. W Bielsku-Białej, gdzie dyrektorował Talarczyk, Ingmar Villqist wystawił swoją *Miłość w Königshütte* (2013). Chwilę później jako słuchowisko w Teatrze Polskiego Radia zrealizował swój dramat *Echnaton i Eris* poświęcony Andrzejowi Urbanowiczowi, gospodarzowi pracowni przy ulicy Piastowskiej w Katowicach, postaci niezwykle ważnej dla śląskiego undergroundu. Przypominam te cokolwiek już odległe wydarzenia, ponieważ Talarczyk do Warszawy przywiózł przede wszystkim klasyki, do których teatralny zwrot śląski się nie ogranicza. Intryguje mnie, według jakiego klucza dokonywał wyboru i dlaczego właściwie zabrakło nowszych tytułów? *Skazany na bluesa* w reżyserii Arkadiusza Jakubika także cofa nas o dekadę. Owszem, zmieściła się w programie najnowsza premiera Talarczyka, kameralny, grany w hotelowym apartamencie dramat obyczajowy *Godej do mie*, w którym aspekt historyczny nie jest już najważniejszy, zmieścił się też wspomniany *Byk*, ale co z innymi produkcjami?

Zanim odpowiedź, wyznanie. Cieszył mnie ten wehikuł czasu, radowała wizualna zgrzebnosc, to znaczy szlachetna skromność teatru, który ma ważniejsze sprawy na głowie niż świecidełka i inne media. Oglądając *Mianujom mie Hanka*, zastanawiałem się co prawda, dlaczego

tylko krzesło i gdzie jest byfij? Na szczęście w *Cholonku* to biały kredens stanowił główny element scenografii. Centralnym elementem *Kopidola* z Teatru Naumionego było z kolei łóżko, a właściwie śmiertelne mary. W wielkoobsadowej *Piątej stronie świata* scenografii niemal nie było, poza postawionym na sztorc łóżkiem właśnie i zasłoną, na której pojawiały się rysunkowe wizualizacje. Wielka to była ulga w porównaniu do młodszych przedstawień w reżyserii Talarczyka, z zeszłorocznym musicaliem *Korfanty. Rebelia!* na czele. Tam też, jak w *Piątej stronie świata*, w roli głównej występuje Dariusz Chojnacki. Nie brakuje również wizualizacji, a do tego przygrywa na żywo punkowa kapela. Całości dopełnia bluesowy Diabeł (Cezary Studniak) śpiewający rymy Artura Pałygi o tym, że Korfanty jara blanty. Sukces krakowsko-gdańskiego 1989 i takie ma następstwa. Nie zawsze szczęśliwa w rezultatach widowiskowość to cecha wspólna innych spektakli Talarczyka, takich jak *Wujek.81. Czarna ballada* (2016) czy adaptacji powieści Twardocha: *Drach* (2018) oraz *Pokora* (2021). Dopełniając tę lokalną wyliczankę w reżyserskim dorobku, trzeba wspomnieć także o *Westernie* Rafała Urbackiego (2015) i poświęconych biografii Jerzego Kukuczki *Himalajach* (2018). Okej, już rozumiem. Talarczyk to doświadczony artysta i mądry dyrektor. Dobrze wiedział, co robi, przywożąc do Warszawy leciwe klasyki, zamiast pełnych rozmachu niedawnych nowości.

Oglądając dzień po dniu *Mianujom mie Hanka*, *Cholonka* i *Piątą stronę świata*, miałem wrażenie, że wracam, by wysłuchać tej samej opowieści: dwujęzyczność, dwupaństwo, wybór, przed którym Ślązaków stawia historia, wybór, który zawsze się na nich mści. Polski policjant, kupiwszy w *Piątej stronie świata* kamienicę, szykuje jej mieszkańcom „małą okupację”, przygrywkę przed tym, co przyniesie do Szopienic III Rzesza. A przyniesie alternatywę: Auschwitz albo Ostfront. To perspektywa odległa od polskiej i z tego powodu ciekawa, ale przecież niepełna. Można by o śląskiej historii opowiedzieć znacznie ostrzej, brutalniej. I niekoniecznie w kategorii wspomnienia, jak w przypadku Roberta Mamoka, bohatera *Byka*, którego dziadek służył w Wehrmachcie. Nie trzeba też wcale sięgać do niemieckiej historii. Fascynujący jest choćby ten krótki moment, gdy Katowice stały się Stalinogrodem, a protest przeciwko decyzji komunistycznych władz wyraziły ledwie trzy nastolatki. Oczywiście to także nie jest czarno-biała historia o oportunistach i tchórzostwie. Wystarczy zapytać, jaka była wtedy struktura etniczna Katowic, Chorzowa, Bytomia i innych miast aglomeracji. Czy Ślązacy wrócili już z przymusowych wywózek do kopalni Donbasu? Właściwie każde pytanie komplikuje sprawę, co dobrze wróży przyszłości śląskiego teatru. Tematów na pewno nie zabraknie.

Skąd jednak ta moja potrzeba śląskiej ekspiacji, ten niedosyt i podejrliwość? Czyżby budził się we mnie pokrzywdzony historią Polak, co to od Ślązaków oczekuje pokornej spowiedzi (i dalej, jak ich farorz uczył: żalu za grzechy oraz pokuty)? Niewykluczone. Te ich pruskie westchnienia o Europie i łazienkach w przedwojennych mieszkaniach bywają naprawdę irytujące... Ale żarty i resentymy na bok. Dostrzegam w tak ułożonych teatralnych obrazach pewną strategię. Ślązacy są w swoim teatrze programowo życzliwi Polakom. Jeżą się na nas oczywiście, bo nie chcą się w Polsce rozpuścić, ale i wdzięczą, ten lepszy eksponując profil. Tak przed Polakami, jak i przed samymi sobą. Nie wolno zapominać, że zanim te wszystkie spektakle trafiły nad Wisłę, stały się klasykami nad Rawą. Strategia to zresztą skuteczna i przekonująca. Mądrze do serdeczności Bułki dorzucić nieco szorstkiej energii Dariusza Chojnackiego, który w *Piątej stronie świata* gra Bohatera, czyli



Mianujom mie Hanka, reż. Mirosław Neinert, Teatr Korez w Katowicach [2016]

narratora prowadzącego nas przez ten niezwykły, czarodziejski świat, w którym polityka i wojna łamią ludzi cudownych jak rzadkie rośliny: domorosłych mistyków, wrażliwych lekarzy, żydowskie kochanki z Sosnowca... Śląsk się na scenie znakomicie mitologizuje. Miał rację Maciej Nowak, pisząc à propos tego przedstawienia o „śląskim Macondo”. Ale z dzisiejszej perspektywy istotniejsze niż realizm magiczny zdaje się swoiste poczciwienie.

Mianujom mie Hanka to najlepszy przykład takiego właśnie – poczciwego – teatru. Inscenizacyjnie skromnego i kameralnego. Teatru, który, jeśli okoliczności sprzyjają, zdolny jest wykreować nieomal rodzinną wspólnotę. W Warszawie się to udało, tyleż ze względu na okoliczności, ile maestrię aktorki. Bułka wygląda na scenie jak wzór Ślązaczki z Sèvres. Jest w niej dosadność i smutek kobiety ze słynnego obrazu Urszuli Broll, ale też pogoda i piękno niezwykłych bohaterek płócien Erwina Sówki. Słowem – odbija się w niej archetyp matki. Zapewne dlatego tak mocno brzmiała pointa jej pospektaklowej przemowy, wygłoszona w imieniu Ślązaków do publiczności miasta stołecznego: chcemy się z wami kolegować! Pani Grażyno, my z wami też! Odbicie w śląskim lustrze służy przecież i Polakom. Uświadamia fundamentalne różnice, które nie muszą niwelować bliskości. Lubimy wdychać do fantazji o wielokulturowej i tolerancyjnej Rzeczypospolitej. Silny i odrębny Śląsk do tego marzenia nas przybliży. Strach przed „ukrytą opcją niemiecką”, jak o Ślązakach mówił kiedyś Jarosław Kaczyński, obnaża tylko naszą słabość. Talarczyk, który przywozi do Warszawy godane spektakle, wykonuje pożyteczną pracę. Nie jest jej celem aktualny portret teatru śląskiego, lecz obraz rzeczoności teatru jako fenomenu. Jeśli nadal nie mamy w Polsce świadomości jego istnienia, to znaczy, że wciąż dużo przed nami roboty. ■